WTOREK Nr 134 13.XI.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Szable w dłoń!

FOTOREPORTAŻ
na str. 4–5

Fot. J. Łopuszyński

OD EISENSTEINA

PO MICHAŁKOWA – KONCZAŁOWSKIEGO

60 lat kinematografii radzieckiej

Nasze 33 już Dni Filmu Radzieckiego przebiegać więc będą pod znakiem tego jubileuszu. Od początku listopada w programach kin znalazło się już dziesięć nowych pozycji, w tym kilka filmów przeznaczonych dla młodych widzów. Oprócz tego polscy widzowie będą mieli okazję zapoznać się z kilkoma głośnymi radzieckimi filmami najnowszej produkcji. Zobaczymy wśród nich m. in.: „Syberiadę" w reż. Andrieja Michałkowa-Konczałowskiego – film wyróżniony Nagrodą Specjalną jury na tegorocznym festiwalu w Cannes, jego tematem są przemiany, które zaszły w syberyjskiej wiosce; dramat psychologiczny „Jesienny maraton" w reż. Gieorgija Danieliji, dobrze przyjęty na festiwalu w San Sebastian, zmontowany z oryginalnych materiałów nakręcanych przez Siergieja Eisensteina; „Niech żyje Meksyk", zrealizowany przez Eduarda Tisse i Grigorija Aleksandrowa. Poza bogatym zestawem filmów fabularnych wyświetlane też będą dokumenty rejestrujące współczesność, problemy, jakimi żyje na co dzień radzieckie społeczeństwo.

Gości w Polsce w czasie trwania Dni (od 3 do 30 listopada) 40-osobowa delegacja kinematografii radzieckiej. Są to najwybitniejsi aktorzy i twórcy filmowi, m. in. Andriej Tarkowski, Igor Tałankin, Stanisław Rostocki, Tengiz Abuładze. Filmoteka Polska równocześnie udostępni kinomanom klasykę radzieckiego kina – „Pancernik Patiomkin", „Burza nad Azją", „Ziemia", „Iwan Groźny", „Czapajew" – i jest to okazja wyjątkowa.

Dobrym pomysłem organizatorów Dni jest przygotowanie cyklów filmów najwybitniejszych autorów filmowych. Czeka więc widzów spotkanie z twórczością Andrieja Michałkowa-Konczałowskiego, Josifa Chejfica, Siergieja Gierasimowa, Gieorgija Danieliji i Andrieja Tarkowskiego.

W ten sposób przygotowany program Dni Filmu Radzieckiego zapewnia chyba wszystkim widzom możliwość wybrania pozycji najbardziej dla każdego interesujących i pozzwala dobrze zorientować się w tendencjach dominujących obecnie w radzieckim kinie.

(eb)

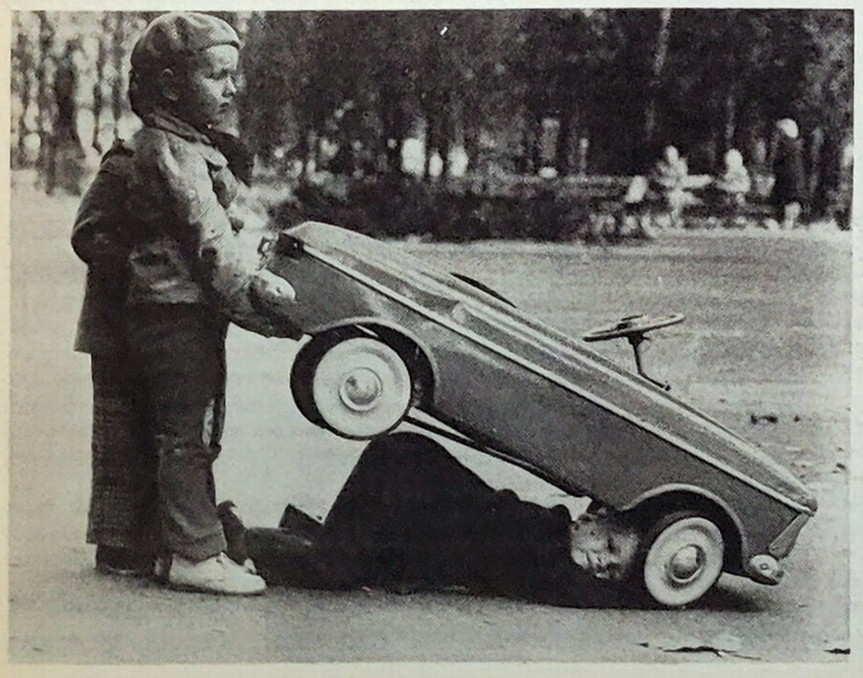

Samochody pasjonują panów od najmłodszych lat

Sztafetowe Biegi Przełajowe

W Barcinie nie tylko piłkę kopią

(Inf. wł.). „Biali Górnicy" z Barcina, którzy reprezentowali nas w międzynarodowych rozgrywkach piłkarskich wakacyjnego turnieju (dwa zwycięstwa z drużyną NRD) nie są jedynymi dostarczycielami sukcesów swojej szkole i miejscowości. Równie dobrze spisują się tamtejsi przełajowcy. Otóż kilka dni temu, podczas wojewódzkich finałów biegów sztafetowych, które odbyły się w Gniewkowie, zajęli oni pierwszą lokatę i uzyskali tytuł drużynowych mistrzów województwa bydgoskiego. Nieźle spisały się także barcińskie dziewczęta – trzecie miejsce (zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 15 z Bydgoszczy). Opiekunom zespołów, panom **Henrykowi Gackowskiemu** i **Ryszardowi Pietrewiczowi,** gratulujemy sukcesów i życzymy ich powtórzenia na zawodach strefowych i w finale krajowym. **(zp)**

*** TELEGRAM ***

Czekamy na Wasze zaproszenie

Jeśli godziny wychowawcze w Waszej klasie są:

- **interesujące**
- **nieszablonowe**
- **pożyteczne**

Zaproście nas na taką lekcję. Przyjedziemy na pewno. Listy adresujcie: „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Na kopercie dopiszcie koniecznie: **„Godzina wychowawcza".**

O tym warto wiedzieć

OŚWIATA W USA

Od początku istnienia Stanów Zjednoczonych aż do tej pory państwo to nie posiadało Ministerstwa Oświaty. Szkolnictwem i polityką oświatową zajmował się resort Zdrowia, Oświaty i Opieki Społecznej. Już od dawna wielu postępowych polityków i działaczy uważało, że sprawy oświaty nie są przez to ogromne ministerstwo właściwie traktowane. Prezydent Carter w czasie swej kampanii wyborczej w 1976 roku obiecywał, że jeśli zostanie wybrany, to doprowadzi do powstania osobnego Ministerstwa Oświaty. Prawie już pod koniec kadencji prezydenckiej udało mu się wreszcie przeforsować ten projekt w Kongresie Stanów Zjednoczonych, ale większością zaledwie 5 głosów.

Walka zwolenników i przeciwników tej sprawy toczyła się niejako z pominięciem najważniejszego – samej oświaty. Postępowe Krajowe Stowarzyszenie Oświaty było wraz z innymi organizacjami, jak np. Organizacja na rzecz Ruchu Praw Obywatelskich, za uchwaleniem ustawy, ale o dziwo, Amerykańska Federacja Nauczycieli była przeciw, argumentując, że utworzenie takiego ministerstwa *„będzie prowadziło do dominacji rządu federalnego w sprawach oświaty"*. Znaczy to innymi słowy, że dobrze jest jak jest, czyli gdy oświatą zajmują się w zasadzie poszczególne stany. Organizacja nauczycieli jakoś nie chciała dostrzec wielkiej szansy, jaką dawała ta debata parlamentarna, dzięki której można było zaalarmować rząd i społeczeństwo stanem szkolnictwa i oświaty w USA. A nie jest to stan, z którego odgrywające jedną z czołowych ról w świecie w dziedzinie nauki i techniki St. Zjednoczone mogłyby być dumne. Jest wręcz przeciwnie, co udowodniły wyniki badań przeprowadzonych przez Fundację Forda. Wynikają z nich zatrważające fakty: 2 miliony dorosłych Amerykanów nie uczęszczało nigdy do szkoły; 14 mln skończyło edukację na czwartej klasie; 10 mln przerwało naukę między piątą a ósmą klasą, 30 mln nie ukończyło szkoły średniej. W sumie 56 mln dorosłych obywateli USA nie ma średniego wykształcenia. 23 miliony nie posiada umiejętności pisania i czytania – są to pełni analfabeci – zaś półanalfabetów jest 34 mln.

Są to fakty, o których w Kongresie nie mówiono, dyskutowano zaś zawzięcie o tym, czy rząd federalny ma prawo decydować o polityce oświatowej w poszczególnych stanach. Zwycięstwo tylko pięcioma głosami nie wróży nowemu ministerstwu łatwej pracy, a roczny budżet w wysokości 14 mld dolarów nie stanowi kwoty, przy pomocy której można by rozwiązać istniejące niedostatki szkolnictwa St. Zjednoczonych. Dotyczy to w szczególności szkół w biednych dzielnicach, do których uczęszcza młodzież murzyńska. (jk)

Czy dyplomaci będą bez pracy?

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Czy rzeczywiście dyplomaci są jeszcze potrzebni, może są już anachronicznym przeżytkiem minionej doby stosunków międzynarodowych? Świat skurczył się, komunikacja lotnicza, nowoczesne systemy łączności, m. in. satelitarnej, umożliwiają przedstawicielom rządów zajmujących się konretnymi problemami, łatwe nawiązanie rozmów, błyskawiczne konsultacje na każdy temat. Załatwienie takich misji można powierzyć specjaliście, np. w przypadku współpracy rolniczej ministrowi rolnictwa. Po wtóre – mnogość kierunków współpracy międzynarodowej nawet między dwoma państwami wyklucza możliwość ogarnięcia tych spraw przez jednego, czy nawet kilku dyplomatów. A nie sposób przecież utrzymać w składzie misji kilkudziesięciu wąsko wyspecjalizowanych pracowników. Po trzecie – ostatnie lata przyniosły wielkie ożywienie w bezpośrednich kontaktach przywódców narodów, mężów stanu, obfitowały w liczne konferencje o zasięgu regionalnym i światowym. Istnieją możliwości omówienia w cztery oczy wszystkich tematów przez głowy państwa – oni też kształtując na co dzień zasady polityki swoich krajów, najlepiej potrafią wytyczać drogę, jaką będzie kroczyć międzynarodowa współpraca w każdej dziedzinie.

Pytania zostały postawione. Mimo pozoru tzw. nowoczesnego myślenia wynikają one z dość tradycyjnego pojmowania funkcji dyplomacji i dyplomatów. Zanim na nie odpowiemy – dwa słowa historycznej dygresji.

Na dobrą sprawę nikt właściwie nie wie kto, kiedy i gdzie przeprowadził pierwszą misję dyplomatyczną; kto – jeśli można tak powiedzieć – wpadł na pomysł delegowania posłów do sąsiadów. **Julian Sutor** w książce pt. **„Prawo dyplomatyczne i konsularne"** pisze: *„...praktyka wysyłania posłów występuje już na niższych szczeblach społeczeństwa pierwotnego"*. Najstarsza, a przede wszystkim najdramatyczniejsza misja, której świadectwo utrwaliła literatura, miała miejsce w starożytnej Grecji, w przededniu wybuchu wojny trojańskiej. W bagażu posłów achajskich udających się do Troi, aby domagać się wydania porwanej przez Parysa Heleny najprawdopodobniej znajdowały się dwa rodzaje glinianych tabliczek. Pierwsze – polecające ich osoby jako oficjalnych przedstawicieli Achajów, przedstawili władcy Troi – królowi Priamowi. Drugie – skrzętnie skrywane przed niepowołanymi oczami, zawierały wytyczne co do sposobu pertraktacji, granicy ustępstw. Instrukcje te, zwane „diploma", notowano na dwóch pokrytych woskiem tabliczkach. Składano je następnie, aby tekst pozostał niewidoczny.

Słowo „diploma" po dziś dzień znaliby tylko historycy starożytności, gdyby nie przypomniano sobie o nim w XVIII stuleciu, w dobie tworzenia pierwszych zasad, zwyczajów i form w kontaktach międzypaństwowych. Sięgnięto do niego tworząc tak powszechnie dziś używane terminy „dyplomata", „dyplomacja".

Paradne mundury, wstęgi, hafty i ordery, precyzyjne przestrzeganie dworskiego ceremoniału, pedantyczna dbałość o należytą reprezentację, spryt i przebiegłość w intrygach wśród pałacowych dostojników, które służyć miały dobru interesów państwowych kraju, który wysyłał dyplomatę.

Tak mniej więcej nasi dziadkowie wyobrażali sobie pracę przedstawicieli dyplomatycznych. Pytania zacytowane na wstępie wskazują, że sporo jeszcze pozostało z mitu o wygodnym, wypełnionym ceremoniami życiu dyplomaty, od czasu do czasu ożywionym tylko dreszczykiem emocji ryzykownej intrygi czy sekretnej misji. Sens tego zawodu – choć zbladł operetkowy blask dyplomatycznych protokołów – skłonni często jesteśmy ograniczać tylko do reprezentacji. Niesłusznie – bowiem wraz z rozwojem międzynarodowych kontaktów stał się on zajęciem niezwykle blisko związanym z życiem, z mnóstwem praktycznych problemów, które wynikają z codzienności stosunków międzypaństwowych. Kiedyś dyplomata ograniczał swoje zainteresowanie tylko do problemów politycznych; nie do pomyślenia było np. by zajmował się służbowo trudnościami w handlu węglem czy ciekawymi wydarzeniami kulturalnymi. Dziś nie może być obojętny wobec takich wydarzeń. Współczesny przedstawiciel dyplomatyczny interesuje się całą mozaiką spraw rzutujących na stosunki jego ojczyzny z państwem, w którym urzęduje. Pośredniczy w nawiązywaniu i przebiegu dialogu politycznego na najwyższym szczeblu, jest rzecznikiem oficjalnego stanowiska swojego rządu, ułatwia, wspiera wymianę handlową, kulturalną, gospodarczą, naukowo-techniczną, młodzieżową, sportową. Chroni interesy obywateli swojej ojczyzny, sprawując opiekę nad jej własnością, służąc pomocą w każdej sprawie swoich rodaków, w ich konfliktach z władzami itp. Przed laty kilku obywateli polskich zostało porwanych w jednym z państw Bliskiego Wschodu. Uwolniono ich dzięki bardzo intensywnym staraniom wysokich przedstawicieli naszej służby dyplomatycznej. Prowadzono je zarówno w kraju, w którym miało miejsce porwanie, jak i w krajach zaprzyjaźnionych i neutralnych oraz na forum organizacji międzynarodowych. Oczywiście tak skomplikowane i dramatyczne misje nie zdarzają się często. Na co dzień nasze placówki dyplomatyczne rozwiązują dziesiątki tysięcy drobniejszych spraw, ale przecież także rzutujących na wzajemne stosunki; przychodzą z pomocą Polakom, którzy za granicą, z własnej winy, czy z przyczyn losowych, znaleźli się w trudnej sytuacji. Rosnąca liczba prywatnych i służbowych wyjazdów sprawia, że tzw. opieka dyplomatyczna nad obywatelem znajdującym się na obczyźnie staje się rosnącym zadaniem dla ambasady i konsulatów.

Dyplomata jest nieocenionym sojusznikiem działacza gospodarczego, handlowca. Jest dla nich źródłem informacji, ułatwia dotarcie do interesujących partnerów rozmów, wprowadza w miejscowe zwyczaje itp. Korzystając ze swoich uprawnień może kontaktować się z najwyższym kierownictwem władz państwowych, co jest z reguły nieosiągalne dla „zwykłych" handlowców czy np. dyrektorów zjednoczeń. W czasie audiencji u głowy państwa podejmuje temat np. trudności w sfinalizowaniu rozmów, nieuzasadnionych wymagań itp.

W czerwcu br. oglądaliśmy w telewizji przebieg spotkania Breżniew – Carter i podpisanie przez nich porozumienia o ograniczeniu zbrojeń nuklearnych SALT II. Czy te kolejne osobiste rozmowy przywódców ZSRR i USA kwestionują sens istnienia amerykańskiej i radzieckiej służby dyplomatycznej? Przeciwnie – było ono owocem ożywionych kontaktów i rokowań dyplomatycznych, długotrwałego uzgadniania zasad, zakresu i szczegółów porozumienia, tematów, jakie zostaną podjęte w rozmowach, procedury spotkań i setek drobnych szczegółów organizacyjnych. Szereg tematów wymagających błyskawicznego omówienia wyniknęło w trakcie spotkania.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Słowo nie strzała, a głębiej rani

Jeszcze niedawno mówiono i pisano o sporcie i zawodnikach pochlebnie i z zachwytem, dziś tworzy się, szczególnie wokół piłkarstwa, atmosferę nieprzyjemną, zabarwioną sensacyjkami graniczącymi z przestępstwem. Pijaństwo, oszustwa, dorobkiewiczostwo – oto co się naszym piłkarzom zarzuca.

Nie bronię tych zawodników, którzy swoim brutalnym zachowaniem na stadionie i brakiem kultury poza nim kalają miano sportowca. Przeciwny jednak jestem uogólnianiu pojedynczych przypadków. To prawda, że we współczesnym sporcie pojawili się nosiciele zarazków niemoralności. Ale przecież nosicielem tych zarazków jest marginesowe grono zdemoralizowanych mistrzów, bez skrupułów wykorzystujących pobłażliwość władz sportowych.

Nie jest to jednak powód do uogólnień. A już wręcz śmieszą argumenty niektórych „uzdrowicieli" sportu. Oto publicysta „Dziennika Bałtyckiego", Roman Stanowski, obrażony, że kiedyś Jacek Gmoch zaczął nazywać dziennikarzy „szakalami", posądza dziś jego byłych podopiecznych o przejęcie tego zwyczaju. Użył przy tym przykładu, że Kasperczak udzielił mu wywiadu, Kukla „robił wiele uników, by wreszcie wydusić kilka zdawkowych zdań", a Grzegorz Lato „na pytanie jak przyjął mianowanie go członkiem kadry na Argentynę 78 odpowiedział: „Dobrze" i to było wszystko, co raczył powiedzieć dziennikarzowi, przedstawicielowi oficjalnej agencji prasowej".

A co miał powiedzieć? Może to, że z wrażenia nie może spać, że z emocji źle trawi, czy że zostanie królem strzelców i złoty, a nie brązowy medal zdobędzie? Dlaczego mamy mieć pretensję do zawodnika o to, że unika pustosłowia? Nie do przyjęcia jest to, że ten błahy przypadek wykorzystuje się jako argument mający potwierdzić niemoralność kadrowiczów i to, że są wilkami. No cóż, wilki są szkodnikami, a te trzeba tępić...

To, że Lato nie chciał rozmawiać z „przedstawicielem oficjalnej agencji prasowej" wcale go w moich oczach nie dyskredytuje, jakby tego chciał obrażony publicysta. Znamy wystąpienia Laty przed kamerami telewizyjnymi i jego wywiady w prasie. Jest to zawodnik najbardziej na boisku pracowity, ofiarny i więcej niż wielu jego kolegów potrafiący. Dzięki właśnie temu zyskał sobie wśród kibiców największą po Włodku Lubańskim popularność. Po cóż więc te plotkarskie wspominki?

Ale pan Stanowski posunął się w swych uogólnieniach jeszcze dalej. Autorytatywnie stwierdza, że nasi piłkarze „zaczęli stosować coś w rodzaju strajku: grają, ale sami widzimy, że byle jak w lidze, a w reprezentacji nie we wszystkich meczach przykładają się odpowiednio do gry". Oglądając mecze ligowe i reprezentacji można mieć do piłkarzy pretensje, ale nie o brak chęci do gry, tej im nie brakuje, a o niezbyt wysokie umiejętności i nieskuteczność w strzelaniu goli. A to już sprawa szkolenia, jego organizatorów i trenerów. Za cóż więc wieszać Cygana skoro kowal zawinił?

Z uznaniem odnoszę się do organizatorów i uczestników telewizyjnej dyskusji nad przyczynami marazmu w polskim futbolu (2.X.br.), której miliony telewidzów miały okazję wysłuchać w programie sportowym. Szkoda tylko, że o tak późnej porze. A szkoda dlatego, że nie mogli jej wysłuchać najmłodsi kibice i piłkarze drużyn szkolnych i podwórkowych. We wspomnianej dyskusji mówiono o sprawach najważniejszych – ukształtowaniu cech osobowości zawodnika już w szkole podstawowej. Był to zarazem przykład wnikliwie i ze znawstwem przedmiotu prowadzonej dyskusji.

Wiadomo, że w czasie szkolnych zajęć sportowych i w szkolnych klubach sportowych dokonuje się podstawowa i – jak świadczą efekty – skuteczna praca wychowawcza. Ale i w sporcie szkolnym trafiają się nosiciele zarazków niemoralności. Oto opiekun drużyny szkolnej, w pogoni za wynikami, fałszuje legitymacje swoich podopiecznych, ucząc ich oszustwa; nierzadko obiecuje młodziutkim sportowcom ulgi w nauce i inne profity za udany występ na igrzyskach czy zawodach. A wiadomo, czym skorupka za młodu nasiąknie...

Ale choć tego rodzaju wynaturzenia są sporadyczne, to i tak trzeba się im stanowczo i konsekwentnie przeciwstawiać. Nie stosując przy tym ubliżających setkom tysięcy młodych sportowców uogólnień. Bo, jak mówi ukraińskie przysłowie – „słowo ne striła, a głybsze ranit".

RYSZARD RATAJCZYK

REPORTER Świata Młodych

KIEROWCA POWIEDZIAŁ...

Jest słoneczny dzień, godzina 10. Na dworcu autobusowym w Darłowie – tłum. Za chwilę powinien podjechać autobus do pobliskiego Darłówka. Pasażerowie ściskają w rękach bilety kupione wcześniej w kiosku. Na tej linii obowiązuje samoobsługa. Przy każdym stanowisku charakterystyczne tabliczki „Zachowaj kulturę przy wsiadaniu".

Autobus nadjeżdża z 10 minutowym opóźnieniem. Uwaga... Start!

Kierowca przez chwilę usiłuje poskromić napierający tłum, ale natychmiast zostaje odepchnięty.

– Panie, odsuń się pan, wejść nie można!

Po wejściu do autobusu następuje moment rozterki. Nie ma kasowników. Co robić?

Metodą „głuchego telefonu" rozchodzi się wieść:

– Kierowca powiedział, żeby przedrzeć bilety.

Z przodu naradza się trzech młodzieńców. Szeptem oczywiście.

– Co robimy? Chyba nie zamierzacie przedrzeć?

– No pewnie! Jak kierowca frajer to niech traci.

– A jak będzie kontrola?

– No to co? Nie zdążysz przedrzeć?

Inny z tyłu demonstracyjnie przedziera bilet.

– Biorę państwa na świadków... Przedarłem.

Ktoś w pobliżu mruknął.

– Dureń...

W sąsiednim rzędzie słychać piskliwy głos kobiecy:

– Też mi majątek. Trzy złote.

Oczywiście, że przedarłam.

Za mną siedzi matka z... może 10-letnią córką.

– Magda, po coś je podarła. Byłyby na drugi raz.

Dziewczynka załamującym się głosem:

– Ale mamusiu, kierowca kazał...

– No i co z tego! Ty masz mnie słuchać!

Autobus wjechał między zabudowania Darłówka. Wysiadłem na pierwszym przystanku.

Wojciech Majewski

ZŁOTO LAPONII (1) *

Poszukiwacze znad Rzeki Miłości

Poszukiwacz złota znad rzeki Lemmenjoki. Wszedł do baru w Inari i zamówił poro, czyli pieczeń z renifera. Zjadł a kiedy kelner przyniósł rachunek, wyjął skórzany woreczek, rozsupłał go i wysypał na stolik garść dużych grudek złota. Wieść o tym wydarzeniu lotem błyskawicy obiegła Inari. Ba, zelektryzowała całą okolicę.

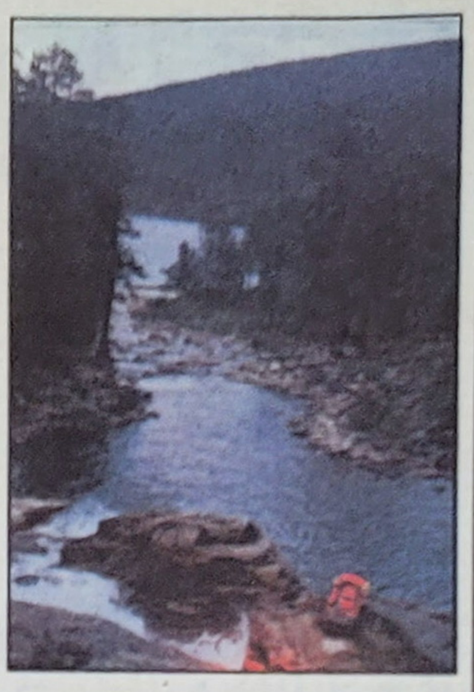

W dwa dni później, po zaopatrzeniu się w mapę, siedziałem w pocztowym autobusie pędzącym na zachód. Powiew gorączki złota czuło się w zachowaniu przynajmniej kilku osób, a przede wszystkim grupy brodatych mężczyzn z żelaznymi talerzami przytroczonymi do olbrzymich plecaków. W autobusie siedziało też kilku Lapończyków oraz trampów takich jak ja, wychodzących z założenia, że wyprawa nad Lemmenjoki jest nie tak kosztowna i męcząca, jak w dorzecze Jukonu na Alasce, a fortuna do każdego przecież może się uśmiechnąć. Po około 40 km w Njurgabahti skończyła się droga asfaltowa. Dalej trzeba podążać piechotą lub łodzią, którą można wynająć i płynąć w kierunku występowania złotonośnych obszarów.

Wybieram drogę kombinowaną, wodno-lądową i za „słoną" opłatą, z licznymi współpasażerami, sadowię się w łódce o wdzięcznej nazwie „Petronella". Ochrzczono ją tak na pamiątkę legendarnej i niezwykle urodziwej Holenderki Sylvii Petronelii, która kilkadziesiąt lat temu poszukiwała tu złota. A że darzono ją powszechnie wielkim uczuciem – rzekę przepływającą przez stanowiska poszukiwaczy nazwano Lemmenjoki, czyli Rzeką Miłości.

Przy ujściu rzeki Maddib Ravadas dobijamy do brzegu. Po około 10 km marszu docieram do drewnianej chatki Kajanto. Niestety, nie jest to chałupa któregoś z poszukiwaczy złota, lecz myśliwych i turystów, gdzie za darmo można przespać się i przygotować sobie posiłek. Jest cały rok otwarta, a zapas żywności, który przygotowano dla zbłąkanego, głodnego trampa, ciągle uzupełniany.

Z drugiej strony to dobrze, że tutaj trafiłem, gdyż raczej nigdzie nie dowiedziałbym się tylu ciekawostek o lapońskim złocie. Nie dowiedziałbym się również jak dalej wędrować, by spotkać stanowiska poszukiwaczy złotego piasku, gdybym nie napotkał w Kajanto siwego, starszego „Lapinhullu", człowieka urzeczonego Laponią, który od kilkunastu już lat każdy urlop swój spędza nad Lemmenjoki.

– Złoto Laponii – rozpoczął opowieść. – Ile w tym prawdy, ile legendy? Chyba nikt tego nie wie. Faktem jednak jest, że już w 1546 r. Georg Aricola po raz pierwszy opisał lapońskich poszukiwaczy, a w 1836 r. tajny inspektor policji Boucht odnalazł przy ujściu Kemi dwa kamienne głazy z żyłami złota. Od tamtej też pory przez wiele lat w Laponii trwała prawdziwa gorączka złota. Szczytem tej gorączki był chyba rok 1871, kiedy to w ciągu jednego roku 500 zawodowych eksploatatorów znalazło 57 kg złota. Być może nie wszyscy wzbogacili się na tyle, by dalej szukać tego cennego kruszcu, skoro częściowo zaprzestano dalszych poszukiwań.

Nowa fala gorączki złota w Laponii wybuchła w latach powojennych. W 1945 r. dwaj bracia Nillo i Vejkko Ranttila rozbudzili wyobraźnię wielu amatorów łatwego życia, znajdując kilkudziesięciogramowe grudki złota. Raz jeszcze wyruszono na poszukiwania.

W cztery lata później cały obszar wokół rzeki był już podzielony na działki. Gdy jednak oczekiwany sukces nie nadchodził, większość poszukiwaczy opuściła te tereny. Nawet taki optymista jak Nillo Raumala przeniósł się do Tankavaary. Dzisiaj poszukiwaczy złota jest tu chyba dziesięciu i ci wierzą, że właśnie tutaj odnajdą swą fortunę.

Stary globtroter pochylił się nad mapą i wskazał palcem.

– Z pewnością tu, nad potokiem Morgan, można będzie któregoś z nich spotkać.

Miał rację. Następnego dnia po przejściu 25 km na przełaj, przez rozległe pagóry zwane tu tunturi, liczne potoki i mokradła w całej dolince dopływu rzeczki Morgan, spostrzegłem starą, drewnianą chałupę pokrytą mchem. Po opartych o ścianę domu łopatach, oskardach oraz rozkopanym potoku można było wnioskować, że tak właśnie wygląda siedziba zawodowego poszukiwacza złota.

Zaskrzypiały zawiasy i ukazała się zadymiona izba z pryczą, ulepioną z gliny kuchnią z kilkoma garnkami. Po przeciwległej stronie stał warsztat przypominający stolarski, z najróżniejszymi narzędziami i sitami. Ściany chałupy udekorowane były rogami reniferów, łosi, korzeniami oraz najróżniejszymi skałami i minerałami.

Przy stole, czytając, siedział zarośnięty kilkudniowym zarostem mężczyzna, ubrany w przepoconą kraciastą koszulę.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Hej – mruknął, nie spojrzawszy nawet w moją stronę, a po pewnym czasie dodał: – Usiądź, pewnie jesteś zmęczony. Możesz też nastawić czajnik, pali się w kuchni, zrób sobie herbaty. Jak odpoczniesz, to możesz mnie znaleźć nad potokiem.

Wziął z poręczy krzesła kurtkę, na głowę wsadził kapelusz i wyszedł.

Faktycznie, odnalazłem go nad potokiem. Łopatą wsypywał żwir do zbitego z desek koryta, przez które przepływała woda. Obok leżały blaszane patelnie do przemywania piasku oraz spory zestaw sit, służących do zatrzymywania piasku w korycie. Trzech innych poszukiwaczy przemywało żwir przy pomocy talerza. Widząc moje zainteresowanie jeden z nich lekko uśmiechnął się i zaczął objaśniać:

– Żwir i piasek, w którym znajdują się małe grudki złota wsypuję do koryta, a płynąca w nim woda wymywa minerały i skały lekkie. Złoto jako minerał ciężki zatrzymuje się na dnie w sicie. Wymywać złoto można też za pomocą blaszanego talerza. Jest to jednak praca bardzo żmudna i długotrwała. Jak chcesz, to możesz spróbować.

Być na stanowisku poszukiwaczy złota i nie przemywać złotonośnego piasku... Złapałem talerz i przez cztery dni, od rana do zmroku, siedząc w potoku szukałem cennego kruszcu. Z jakim efektem? Dwa mikroskopijne ziarenka mogą się wydać mizernym rezultatem. Ale czyż jest tak istotnie? Wydaje mi się, że sam fakt szukania złota w towarzystwie zawodowca jest już i tak wielką przygodą.

STANISŁAW STOLARCZYK
Fot. **autora**

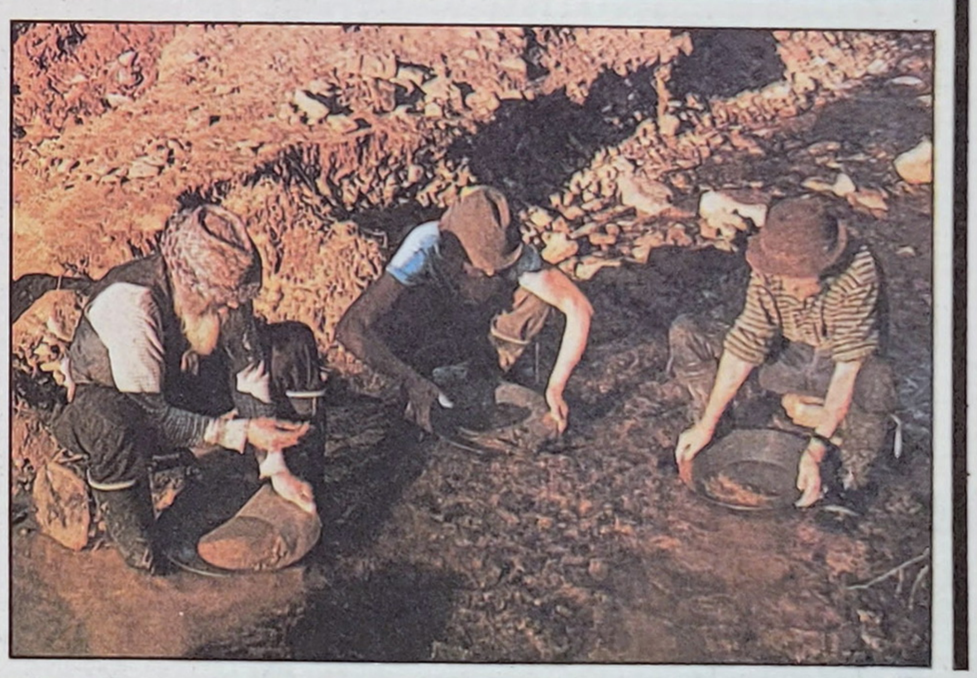

REDAKCYJNA POCZTA

Co myślicie o stosunku kolegów do Piotrka?

Chciałbym opisać pewną sprawę, która dotyczy nie tylko mnie, ale także wielu moich kolegów. Mieszkam w mieście, a moi dziadkowie na wsi. Po lekcjach często do nich jeżdżę. Pomagam im trochę w gospodarstwie, robię zakupy. Po każdej takiej wizycie słyszę z ust moich kolegów przezwiska: „wieśniak", „Laluś" itp. W szkole, na podwórku odnoszą się do mnie właśnie z powodu tych wyjazdów na wieś – z lekceważeniem, a nawet z pogardą. Spotkałem się z tym nie tylko tu, w Nowogardzie, ale i gdzie indziej. Całe wakacje też spędziłem u dziadków. Wcale tego nie żałuję, bo były wspaniałe! Proszę, wydrukujcie ten list. Może czytelnicy „Świata Młodych" wypowiedzą się na ten temat.

Piotr Drozdek
z Nowogardu

Miłośniczka chemii prosi o współpracę

Zwracam się do „Redakcyjnej Poczty" z ważną dla mnie sprawą. W zeszłym roku zainteresowałam się chemią. Początkowo bardzo pilnie przygotowywałam się do lekcji. Potem przestało mi to wystarczać i sięgnęłam po książki popularnonaukowe z tej dziedziny. Zaczęłam od tych najłatwiejszych, a teraz mogę już sięgać po pozycje poważniejsze. Doszłam jednak do wniosku, że nauka chemii z książek to nie wszystko i zaczęłam eksperymentować. Wykonywałam proste doświadczenia. Dużo trudu kosztowało mnie przekonanie mamy, że buteleczki, na których widnieją „straszne" napisy są w sumie nieszkodliwe. Obecnie mam nawet spory zbiorek odczynników. Wykonałam już te doświadczenia z podręczników, które w domowych warunkach można zrobić. Pragnęłabym teraz zwrócić się z prośbą do czytelników „Świata Młodych". Może któryś z miłośników chemii „wyrósł" już z książek St. Sękowskiego z serii „Chemia dla Ciebie", lub z innych książek opisujących proste doświadczenia chemiczne, sposób urządzania domowego laboratorium itp. Będę bardzo wdzięczna za odstąpienie mi ich.

Agnieszka Chodkowska
ul. Domaniewska 13/15 m 7
02-676 Warszawa

To nie była przyjaźń

Miałam koleżankę uczącą się gorzej niż ja. Od czwartej klasy pomagałam, a właściwie pisałam jej sprawdziany, wypracowania, zadania domowe itd... Koleżanki z mojej klasy odradzały mi tę przyjaźń. Ale ja nie mogłam z niej zrezygnować, gdyż nie umiałam siedzieć bezczynnie i patrzeć jak ona dostaje z każdej lekcji dwóję. Mam zbyt miękkie serce. Jola (tak ma na imię ta koleżanka) miała pisać sprawdzian z fizyki, gdyż od początku roku szkolnego nie pisała ani jednego. Spytała mnie czy jej napiszę. Powiedziałam jej, że jak się choć trochę nauczy, to jej pomogę, a nie napiszę. Na drugi dzień, gdy właśnie miał być sprawdzian, nie przyszła do szkoły. Widocznie nie chciało jej się nauczyć. Wtedy właśnie skończyła się nasza przyjaźń. Nawet nie żałuję tego do dziś. Długo nie mogłam znaleźć prawdziwej przyjaciółki, nawet i teraz jej nie mam. Wolę jednak nie mieć żadnej niż taką.

Wioletta z Piły

Nie bądźmy obojętni

Chcę opisać przypadek, który zdarzył się w naszej wsi. Pewnego dnia przedszkolaki po skończonych zajęciach opuściły przedszkole i poczęły biec środkiem jezdni. Potem biegły chodnikiem, a część z nich ulicą, aż do miejsca, gdzie zatrzymują się autobusy. Za dziećmi szła ich nauczycielka. Nie zważając na maluchy, podeszła do kiosku i zaczęła rozmawiać ze sprzedawczynią. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Chciałam powiedzieć wychowawczyni, aby się o dzieci zatroszczyła, ale zabrakło mi odwagi. Zdobyłam się tylko na to, by uwagę zwrócić przedszkolakom. Dodam jeszcze, że na przystanku stała grupa ludzi i nikt z nich nie zainteresował się małymi dziećmi bezkarnie biegającymi po jezdni.

„Spostrzegawcza"
(nazwisko i adres znane redakcji)

OD REDAKCJI: Postąpiłaś bardzo dobrze zwracając uwagę dzieciom. Szkoda, że zabrakło Ci odwagi i że jednak nie powiedziałaś nauczycielce przedszkolaków, aby zatroszczyła się o bezpieczeństwo dzieci. Każdy z nas jest zobowiązany reagować przeciwko złym zjawiskom w swoim najbliższym otoczeniu, a także na ulicy, w tramwaju, czy innym miejscu. Tylko w ten sposób można działać przeciwko tzw. znieczulicy społecznej, której dowodem było obojętne zachowanie się ludzi stojących na przystanku autobusowym i brak odpowiedzialności opiekunki dzieci. (bs)

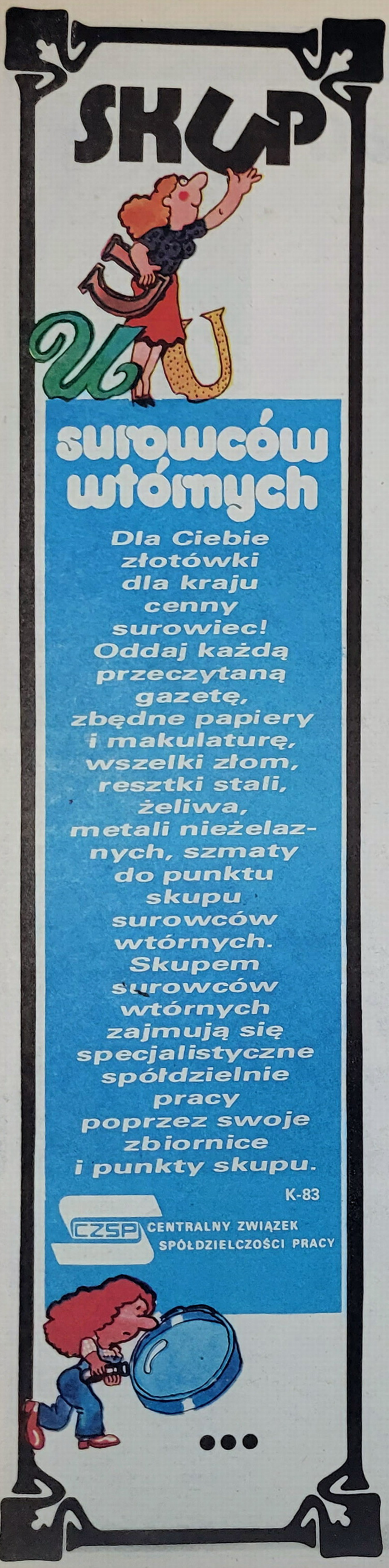

O Gośce myślą i mówią różnie, że to:

- – wspaniała harcerka, której drużyna zawdzięcza zdobycie miana sztandarowej
- – leniwa uczennica, lekceważąca naukę
- – „dziewczyna – filar", dzięki której prowadzone są kroniki, a życie w internacie nie jest nudne
- – „najmądrzejsza" w klasie, która wszędzie musi wtrącić swoje trzy grosze, bo wydaje jej się, że tylko ona potrafi zrobić wszystko najlepiej.

Jedno jest pewne – Gośka, która w szkole podstawowej była jedną z najlepszych uczennic, powtarza teraz III klasę liceum.

Mam gdzieś jeszcze odznakę wzorowego ucznia

Przyszła do tej podstawówki w VI klasie. Znała w niej tylko Agnieszkę, u której rodziców zamieszkała. Już po kilku dniach klasa wybrała ją na przewodniczącą samorządu. Była nią do końca. W VII klasie została przyboczną zuchów. Brała też udział w konkursie polonistycznym (zakwalifikowała się do finałów wojewódzkich). Szkołę ukończyła mając 6 czwórek i resztę piątek (chociaż myśli, że piątkę z fizyki miała za prowadzenie kroniki szczepu, którą nieraz zajmowała się na polecenie nauczycielki podczas lekcji). Gdy wspominamy tamte czasy Gośka mówi: – „mam gdzieś jeszcze odznakę wzorowego ucznia..."

Poszła więc do liceum. Czuła, że z takim świadectwem ją przyjmą bez problemów. Przyjęli.

Siedziały w milczeniu przypatrując się sobie trochę podejrzliwie. – Trzeba wybrać samorząd – oznajmiła nauczycielka. – Na gospodarza proponuję Baśkę.

– My chcemy Gośkę – proponowały koleżanki z podstawówki. Reszta klasy zgodziła się z nauczycielką. A Gośka? – Działała w harcerstwie niech będzie drużynową – zdecydowała pani.

Gośka prowadziła jeszcze drużynę zuchową w swojej starej szkole. Na naradzie w hufcu ktoś jej powiedział: jesteś chyba dobrą uczennicą, jak cię wybrali na drużynową. A ona już nie była. Pierwsza wywiadówka. Kartka z ocenami wklejona do pamiętnika, a na niej: dwójka z chemii i matematyki. Zbliżało się półrocze, a Gośka miała wyjazd na 5-dniowe szkolenie do Oleśnicy. Przywiozła stamtąd notatki, piosenki, bardzo jej to pomogło prowadzić drużynę. Na półrocze miała dwie dwójki. Pani, u której mieszkała powtarzała jej: – Po co się tak angażujesz? Zobaczysz, sama się zgubisz.

Ale ona nie potrafiła żyć tylko nauką. Na koniec roku udało jej się wykręcić bez dwój. Wróciła do domu.

– No, jak ci poszło? – matka była ciekawa. Gośka z dumą wyciągnęła książkę, nagrodę „za pracę społeczną". Świadectwo pokazywała mniej chętnie. Czym się tu chwalić? Były na nim prawie same trójе.

W drugiej klasie zorganizowała w drużynie kampanię „Bohater". Roboty było dość, miała zrezygnować z prowadzenia zuchów. W szkole wiadomo było, że Gośka lubi rysować i malować. Nieraz siedziała do drugiej w nocy, uzupełniała kroniki, robiła gazetki. Chętnie zgłaszała się do tych prac. A potem przychodziła nieprzygotowana na lekcje. Ręce jej się trzęsły od malowania. Ocenami nie przejmowała się: „jakoś to będzie" – myślała.

Na naradzie szczepu komendantka powiedziała jej: – „Pojedziesz na forum HSPS". Była trochę przestraszona, ale i dumna, że ona, drugoklasistka, znalazła się w piątce harcerzy reprezentujących całą chorągiew. Wróciła pełna wrażeń. Ale zauważyła, że w nauce pozostała z tyłu za tymi, którzy w nic się nie angażowali, za to przechodzili z klasy do klasy „suchą nogą". Rezultat: koniec II klasy – poprawka z matematyki. Rodzicom powiedziała, że nie ma świadectwa, bo musi jechać na obóz. Co zrobić z wakacjami? Była akurat w komendzie hufca gdy druh odebrał telefon: potrzeba 12 dziewczyn do obsługi manewrów.

– Skąd ja je teraz wytrzasnę? – martwił się druh. Gośka postanowiła: stanę na głowię a zbiorę dwunastkę. Udało się. Pojechały na manewry. A tam las, jezioro, namioty. Miały dyżury przy sztabie. Na początku dziewczyny nie były zadowolone, ale Gośka powiedziała: – jak tu już jesteśmy to musimy wytrzymać. W rezultacie, po tym wszystkim żal było wyjeżdżać.

Gośka wzięła ze sobą książkę do matematyki, ale się z nią nie afiszowała. Zresztą nie miała czasu, a do końca wakacji jeszcze tyle dni. Wróciła do domu. Próbowała uczyć się po kryjomu, nakrywała książkę gazetami. Ale w końcu nie wytrzymała, powiedziała ojcu. Jak się okazało matka wiedziała już wcześniej o tej poprawce, ale czekała kiedy Gośka sama zacznie o tym mówić. Zresztą rodzice nie wierzyli, że ich córce może się nie udać. Nadszedł dzień poprawki. Trochę zdenerwowana weszła do szkoły. Dostała sześć zadań. Gdy piąte z nich rozwiązywała przy tablicy, zrobiło jej się lekko. Dziękuję – powiedziała nauczycielka – zdałaś! Wybiegła z klasy. Czekały już na nią dziewczyny. Co za radość, że są razem, w trzeciej klasie!

Na pierwszej matematyce nauczycielka wyrwała ją do odpowiedzi. „Znowu się nie uczysz! Nie licz, że w tym roku ci się uda". Posypały się dwóje z innych przedmiotów, bała się zawiadomić rodziców o wywiadówce. Pod naciskiem wychowawczyni przeniosła się ze stancji do internatu. Niestety nie polepszyła sobie w ten sposób warunków do nauki.

W internacie trwały wybory. Każda z siedmiu grup zgłaszała swoich kandydatów. Sześć grup wybrało właśnie ją. Próbowała coś powiedzieć, ale kierownik ją uprzedził: „wiem że o sobie samemu ciężko mówić". W rezultacie zgodziła się, cieszyła się, że mają do niej zaufanie. Andrzejki były za pasem. Rzuciła się w wir przygotowań, zaprosiła prawdziwą wróżkę, namalowała piękny plakat. Awantura wybuchła na polskim, gdy wydało się, że jest przewodniczącą internatu.

– Jak ty mogłaś się zgodzić? Przecież jesteś tak krótko w internacie. Zależy ci tylko aby jak najwięcej o tobie mówili – podsumowała ją wychowawczyni. Poczuła się urażona. Ale nowe obowiązki zupełnie odciągnęły ją od nauki. Jak tu odrabiać lekcje, kiedy trzeba sprawdzić czystość, czy uzupełnić kronikę. Bała się nauczycielom powiedzieć, że nie ma czasu na te prace. Zarywała noce, a lekcje zostawiała zawsze na koniec. Na półrocze nazbierało się dwój – aż cztery. Wprawdzie żona kierownika internatu pomagała jej z matematyki, ale niewiele to pomogło. na dodatek podpadła historykowi. Pod koniec roku kierownik uprosił historyka by ją jeszcze raz spytał. Ale ona powiedziała: „niech pan spyta w tym czasie kogoś innego. Ja i tak nie umiem". Znowu nie dostała świadectwa. Wakacje zaczynała z nagrodą od rady pedagogicznej „za aktywną postawę społeczną" i... z dwiema poprawkami – z historii i matematyki. Rodzicom powiedziała o jednej.

Początek wakacji spędziła pracując w kuchni na kolonii, chciała sobie zarobić trochę pieniędzy. Po koloniach wróciła do domu, a tam letnicy – brat ojca z córkami. „Co tak ciągle czytasz tę historię?" – dziwiły się dziewczyny. „Będę zdawała na maturze" – kręciła. Ale coraz częściej chodziła z nimi nad rzekę, grała w badmingtona. Miała dość tych książek i ciągłej myśli, że się musi uczyć. Na poprawce historia poszła jej gładko. Za to na matematyce nie mogła rozwiązać żadnego zadania. „To moja ostatnia szansa" – myślała i denerwowała się jeszcze bardziej. Liczyła, że nauczycielka jej pomoże, ale usłyszała tylko: „szkoda czasu, jesteś wolna". Wyszła z klasy. Bała się sama wracać do domu. Co ja im powiem? Porozmawiała tylko z matką. „Rzuć ten internat i harcerstwo" – radziła matka. Gośka postanowiła: doprowadzę tylko do końca kronikę i zorganizuje wybory w internacie. A harcerstwo? Ich szczep organizował wojewódzką inaugurację roku harcerskiego. Dziewczyny z jej dawnej drużyny stały dumne – drużyna zdobyła miano sztandarowej.

– No co, Gośka, chciałabyś być tutaj? – spytała wychowawczyni.

– Przecież jestem – odpowiedziała.

– Ale nie z nami – padła odpowiedź. Wtedy Gośka uświadomiła sobie, że nie może zebrać plonu swojej trzyletniej pracy z drużyną, bo już do niej nie należy. Spuściła głowę.

Taka jest historia Gośki. Czy jej finał zawdzięcza Gośka tylko sobie? Rada pedagogiczna jednocześnie nagradzała ją za pracę społeczną i... dawała poprawki.

A co Ty sądzisz o sprawie Gośki? Czy rzeczywiście nie warto się angażować? Czy pogodzenie pracy społecznej z nauką jest niemożliwe? Czekamy na listy. Na kopercie dopiszcie „SPRAWA GOŚKI".

ANNA PACIOREK

SZABLE W DŁOŃ!

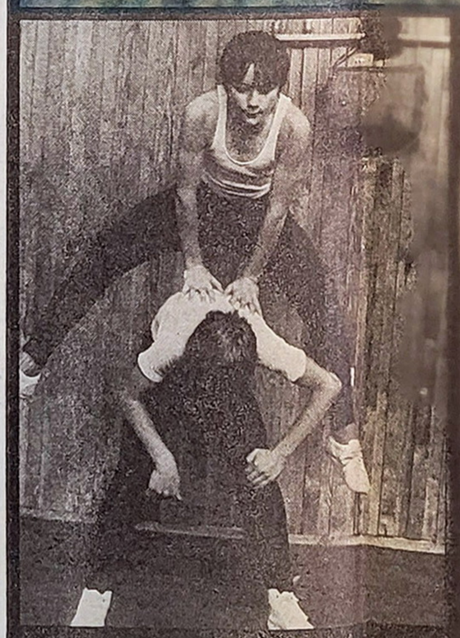

Fotoreportaż JACKA ŁOPUSZYŃSKIEGO

W naszym fotoreportażu prezentujemy młodzież ze Szkoły Podstawowej nr 21 mistrzostwa sportowego im. Janusza Kusocińskiego w Warszawie.

LUDMIŁA ZAJCEWA

nie poddaje się stereotypowi

Nazywają ją „krasawicą", rosyjską pięknością, ale w tej nazwie kryje się nie tylko pochwała jej urody. Jest to popularne rosyjskie określenie kobiety o pięknej duszy, a takie właśnie bohaterki Ludmiła najczęściej kreuje na ekranie. Ich losy są w pewnym stopniu podobne; są to młode, samotne, opiekujące się dziećmi, dzielne kobiety. Nic prostszego, wydawałoby się, wystarczy raz zgłębić psychikę takiej postaci i jeśli proponowana przez aktora wizja jest dobrze przyjęta przez publiczność, powtarzać ten sprawdzony schemat bez ryzyka. Ale Ludmiła Zajcewa nigdy nie zadowoliła się tworzeniem wariantów tej samej roli, choć zagrała ich, podobnych z pozoru, już kilkanaście. Każda jej „krasawica" pokazana jest inaczej, w każdej objawia niezwykle bogatą osobowość. Wpływ na taki sposób traktowania aktorskich zadań z pewnością miały osobiste doświadczenia Zajcewej.

Pochodzi ona z maleńkiej stepowej wioski na Kubaniu. Od dziecka bliski jej był świat przyrody, poezji, pieśni i humor narodowy. I tam, w małej wioszczynie, w skrytości ducha zawsze marzyła o szkole teatralnej, miejscu, gdzie na co dzień obcuje się ze sztuką. Zanim do tego doszło, przeżyła jednak ciąg niepowodzeń. Podejmowała pracę w różnych zawodach, trzykrotnie stawała do egzaminów na wymarzoną uczelnię i trzykrotnie kończyły się one niepowodzeniem. Jednak w końcu dopięła swego. Ale nie był to koniec trudności. Przez trzy lata po otrzymaniu dyplomu była dosłownie niezauważana przez reżyserów. W końcu młoda artystka zdobyła się na odwagę i poszła do filmowego studia, gdzie sławny reżyser Stanisław Rostocki pracował nad filmem „Tak tu cicho o zmierzchu".

I zdarzył się wypadek bez precedensu. Reżyser nie tylko uprzejmie rozmawiał ze zdesperowaną dziewczyną, ale znalazł również dla niej miejsce w swym filmie, Rostocki stwierdził potem: *„Był to trudny egzamin dla debiutantki. W scenariuszu jest pięć głównych ról kobiecych, pięciu znanym artystkom dramatycznym przysługuje tytuł „bohaterki", było więc bardzo trudno zagrać rolę tej szóstej, i to rolę drugoplanową. Ludmiła Zajcewa dokonała tego, przy czym zagrała tak dobrze, z takim wewnętrznym oddaniem, że jeszcze raz zrozumiałem, iż o aktorze decyduje nie dyplom, lecz talent i rzetelność."*

Zajcewa zetknęła się następnie z reżyserem Witalijem Mielnikowem na planie filmu „Witaj i żegnaj". Grała w nim Aleksandrę. Prosta, wiejska dziewczyna, porzucona przez męża z trojgiem dzieci – pod maską bojowniczości, szorstkości i energii życiowej ukrywa delikatność, tkliwość, tęsknotę i nadzieję. Tę pierwszą swoją główną rolę Ludmiła zagrała lekko, jak gdyby „na jednym oddechu". Przypadła do serca widzom. Aleksandrę nazywa początkiem swojej aktorskiej biografii. Sukces ten powtórzyła i w następnym filmie Mielnikowa pt. „Ksenia, ukochana żona Fiodora". Była to znów rola kobiety samotnie wychowującej syna, ale w jej interpretacji zupełnie odmienna od poprzedniej.

Duży wpływ na sposób pracy artystki miał Wasilij Szukszyn. Jej rola w „Pogwarkach" była niewielka, ale nauczyła ją ta współpraca wiele. Zaraziła się przede wszystkim twórczym maksymalizmem reżysera, powagą i rzetelnością w pracy.

Zajcewa zagrała w ciągu niedługiego czasu przeszło 20 ról, w których łatwo mogła popaść w tani sentymentalizm.

Jej możliwości są szerokie, ale nie grała jak dotąd roli z repertuaru klasycznego. Może znajdzie ją w teatrze – gdyż zaczęła występować na scenie moskiewskiego Teatru Studio i również w tym rodzaju aktorskiej twórczości jej talent zdążył się już sprawdzić.

Opracowała **EWA BIELSKA**

DOM MODY świata młodych

...na głowie kończąc (2)

Zgodnie z zapowiedzią – dzisiaj o myciu włosów. Przede wszystkim tłustych, bo rzecz to skomplikowana. Włosy suche i normalne myje się co 7–10 dni w odpowiednim szamponie, bardzo suche pożytecznie jest myć od czasu do czasu zamiast w szamponie – w kurzym żółtku.

Nie wiem ile nastolatek ma tłuste włosy, ale przypuszczam, że sporo, bo jest to dolegliwość tego wieku, która czasami po kilku latach przechodzi. Ale nie zawsze. W każdym razie w tej chwili jest to rzecz nieistotna – są tłuste i coś trzeba z nimi zrobić. Pisałam kilkakrotnie, że w dziedzinie częstotliwości mycia włosów istnieją dwie szkoły: pierwsza – że w żadnym wypadku nie należy myć głowy częściej niż co wspomniane 7–10 dni i druga – że należy myć je tak często jak potrzeba, a to znaczy, że w wypadku włosów bardzo szybko się przetłuszczających nawet co 1–2 dni. Nie podejmuję się autorytatywnie stwierdzić, która z tych dwóch szkół jest obiektywnie lepsza; osobiście jestem zwolenniczką tej drugiej, bo uważam, że ma co najmniej jedną kapitalną zaletę – włosy zawsze są czyste i ich właścicielka nie straszy przez 6 dni w tygodniu otoczenia tłustymi kosmykami. Jeśli ktoś myje głowę tak często, wystarczy jednorazowo namydlić ją szamponem (przy rzadszym myciu, co kilka dni, robi się to dwukrotnie). Po myciu pożyteczne jest płukanie w naparze ziołowym (gotowa mieszanka pt. „Kapilosan"), ale zajmuje to niestety sporo czasu. A czas jest ważny. Tym bardziej że włosy błyskawicznie przetłuszczające się zaleca się myć rano (bo w nocy zdążą się już trochę przetłuścić) a rano nikt nie ma czasu zbyt wiele. Praktyczna jest tutaj (z powodu czasu zużywanego na mycie) fryzurka krótka.

Na ogół włosy tłuste są również rzadkie i nawet natychmiast po umyciu mało puszyste. Jeśli zależy Wam na szczególnie pięknym ich wyglądzie (od czasu do czasu, zastrzegam) można je po umyciu przepłukać w jasnym piwie – robią się od tego jakby gęstsze, sztywniejsze trochę, łatwiej się je daje jakoś ułożyć.

Do mycia głowy (dotyczy to szczególnie włosów tłustych) używać należy wody ciepłej, lecz niezbyt gorącej – przegrzanie aktywizuje gruczoły łojowe do szybszej działalności. Z tego samego powodu do suszenia lepiej jest używać tego chłodniejszego strumienia suszarki.

Uwaga! Fakt posiadania włosów szybko przetłuszczających się może być związany z wiekiem dojrzewania, ale może być również objawem chorobowym – warto więc udać się do lekarza dermatologa (albo internisty), bo może konieczne okazać się zażywanie jakichś środków farmakologicznych. Natomiast w każdym wypadku pożyteczna będzie odpowiednia dieta. Ale o tym za tydzień. Za tydzień również fryzurki dla włosów długich.

RIUSZKA

TOMIK

Ostatnie sekundy Skylaba

Teraz dopiero dotarły do mnie zdjęcia z ostatniej fazy lotu Skylaba, a właściwie płonących w atmosferze ziemskiej jego szczątków. Ponieważ są to zdjęcia niecodzienne, pozwalam sobie zaprezentować je Czytelnikom TOMIKA. Przy okazji przypominam, że amerykańska stacja orbitalna Skylab przebywała w kosmosie od maja 1973 roku do 12 lipca br. W tym to dniu 84-tonowa konstrukcja weszła w gęste warstwy atmosfery i przestała istnieć. Do Ziemi dotarło kilkaset odłamków, często o masie wielu ton. Na szczęście szczątki nie wyrządziły żadnej szkody, większość spadła do Oceanu Indyjskiego. Tylko część wylądowała na terytorium południowo-zachodniej Australii.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

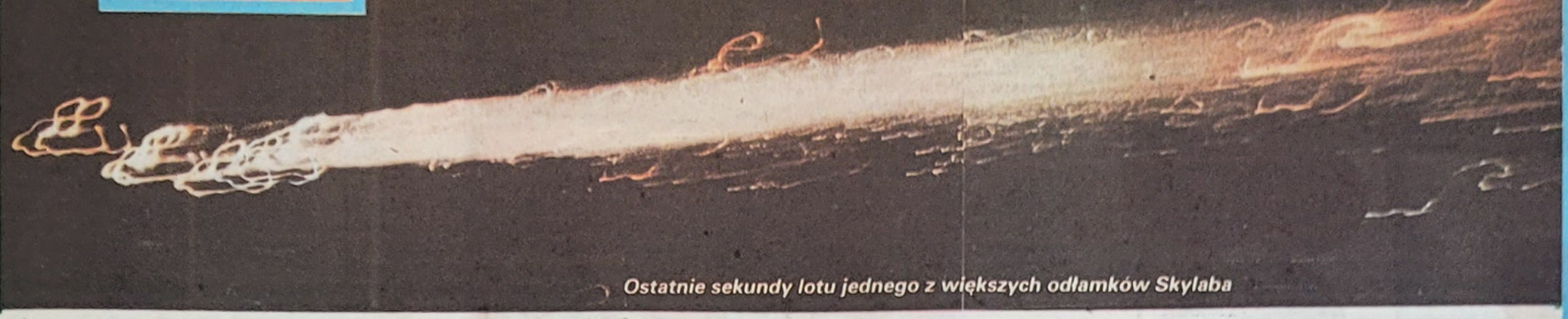

Ostatnie sekundy lotu jednego z większych odłamków Skylaba

Kręgi fali rozumu w Galaktyce

Cechą szczególną życia rozumnego jest dążenie do rozwoju. Ludzie wynaleźli alfabet około cztery i pół tysiąca lat temu – według kalendarza kosmicznego minęło zaledwie 9 sekund – a futorolodzy przewidują, że w wieku XXI nasza planeta nie będzie już nadawała się do życia. Nie można będzie oddychać, pić wody. Ludzkość zbliża się do krawędzi przepaści. Sytuacja nie jest co prawda bez wyjścia. Można zakonserwować rozwój, ściśle go regulować, nie interesować się dążeniem do przodu, stworzyć coś w rodzaju „raju lokalnego". Na tym poprzestać i postawić kropkę.

Niewykluczone, że istnieją cywilizacje, które wstąpiły na taką drogę. Nie pojawiają się u drzwi kosmicznych, nie będą nawet szeptały o sobie, aby powiadomić wszechświat o swym istnieniu. Takie cywilizacje są faktycznie całkiem niedostępne, podobnie jak plemiona nieznane, zaszyte w dżunglach Amazonki.

Jest także drugie wyjście – przynajmniej teoretycznie. Wyprawa w kosmos, zagospodarowanie najpierw okolic najbliższych, a następnie także odległych obszarów. Inżynierowie ziemscy już opracowali projekt stacji kosmicznej w kształcie obwarzanka o średnicy 1,5 km. Będzie mogło zamieszkać tam 10 000 osób w warunkach równie komfortowych, jak na Ziemi. Energia słoneczna, odbita od systemu zwierciadeł otaczających stację, podąży na Ziemię. Wartość roczna strumienia światła przekroczy 10 tys. dolarów i koszty „obwarzanka" zwrócą się po mniej więcej 10 latach. Dokładny projekt takiej stacji opiera się na technologii dzisiejszej.

Taka stacja może być bazą budowli kosmicznych na o wiele większą skalę zamieszkiwaną przez miliony ludzi. Traktując oszacowania bardzo ostrożnie, przewidując bardzo powolne tempo rozwoju ludzkości, to opanowanie całego Układu Słonecznego wymagałoby około 2,5 tys. lat. Gdybyśmy zaczęli w czasach Homera, to już mielibyśmy w rękach Jowisza „złotego, ogromnego, błyszczącego na końcu Drogi Mlecznej..." Za pewien czas ta supercywilizacja natknie się na ten sam problem, przed którym stoimy – ograniczoność zasobów. Wtedy dzięki potencjałowi technologicznemu zacznie opanowywać najbliższe obszary Galaktyki, a następnie wszystkie układy gwiazd przekształci w sposób rozumny. Postępując równie ostrożnie, biorąc pod uwagę wielkość Galaktyki, można przewidzieć, że opanowanie Drogi Mlecznej będzie wymagało kilku milionów lat. Okres porównywalny z ewolucją człowieka na Ziemi.

Trudno przypuszczać, iż w innych miejscach Galaktyki rozum powstał jednocześnie z rozwojem naszej planety. Gdyby się narodził parę milionów lat wcześniej, to przy użyciu dzisiejszych środków technicznych jego działalność dałoby się dostrzec. Dostrzeglibyśmy kręgi biegnące od uderzeniowej „fali rozumu". Gdyby wpatrywać się w niebo nawet do bólu w oczach, to i tak nie można by zobaczyć przebłysków innych rozumów. Niebo milczy, nie dobiegają stamtąd żadne wezwania. Jesteśmy samotni.

Krzysztof Szydełko
76-242 Łupawa

Życie na Wenus

Jeszcze przed kilkunastu laty uczeni przypuszczali, że na Wenus może istnieć prymitywne życie organiczne. Sądzono nawet, iż tamtejsze warunki przypominają te, jakie panowały na Ziemi przed milionami lat. Uczeni mieli więc nadzieję, że badania Wenus pomogą wyjaśnić wiele problemów związanych z powstaniem życia na Ziemi, że może wreszcie uda się wydrzeć przyrodzie tę wielką tajemnicę. Niestety, badania przeprowadzone za pomocą radzieckich i amerykańskich sond kosmicznych niemal całkowicie przekreślają tę nadzieję. Na powierzchni Wenus są bowiem zbyt surowe warunki, aby mogło powstać i rozwijać się życie organiczne oparte na białku. Są tam bardzo wysokie temperatury (+500°C przy powierzchni gruntu). Ponadto planeta otoczona jest niezwykle gęstą atmosferą, skutkiem czego na jej powierzchni panuje ogromne ciśnienie, prawie 100 razy większe niż przy powierzchni Ziemi. Biologom trudno było pogodzić się z myślą, że bliźniacza siostra Ziemi jest najprawdopodobniej zupełnie martwym globem. Nie sposób jednak wyobrazić sobie życia w wysokiej temperaturze, ponieważ białko już w temperaturze 80° Celsjusza rozkłada się i ulega zwęgleniu. Życiu organicznemu na Wenus nie sprzyja również skład chemiczny jej atmosfery, którą odkrył w roku 1761 uczony rosyjski Michał Łomonosow (1711–1765).

Głównym składnikiem atmosfery Wenus jest dwutlenek węgla. Stanowi on około 97% ogólnej zawartości atmosfery wenuskiej, na azot przypada zaledwie 2%. Natomiast tlenu nie jest więcej niż 0,1%, a pary wodnej mniej niż 1%. Musimy więc pogodzić się z myślą, że na Wenus nie istnieje nawet prymitywne życie. Jej klimat jest suchy i bardzo gorący, a przy tym panuje tam wieczny mrok. Atmosfera wenusjańska jest bowiem tak gęsta, że do powierzchni planety dociera tylko znikoma część światła słonecznego. Ale bardzo możliwe, że w dalekiej przyszłości na Wenus pojawi się jakieś życie. Wysuwane są zresztą niezwykle śmiałe projekty przeobrażenia atmosfery tej planety poprzez „wrzucenie" w jej obręb chlorelli wodorowej, która właśnie odżywia się dwutlenkiem węgla, a wydziela tlen. Gdyby więc ten glon zadomowił się na Wenus, to po pewnym czasie mogłyby tam powstać sprzyjające warunki do rozwoju wyższych form życia. Na razie są to jednak tylko fantastyczne zamierzenia.

Rafał Frąckowiak,
64-000 Kościan ul. Korczaka 10

Tak wygląda fragment pojazdu, który wylądował w pobliżu miejscowości Balladonia, na południowym wybrzeżu Australii

fot. „National Geographic"

Kącik korespondentów

Astronomią ogólną interesują się: **Dariusz Kosowski** (16 l.), ul. Santocka 14b/9, 71–113 Szczecin – czł. stowarzyszenia astronomicznego „Cygnus"; **Marek Wojaczek** (15 l.), ul. Chwałowicka 94, 44-206 Rybnik 6; **Paweł Woźniak,** ul. Długa 40/9, 53-658 Wrocław. Astronomią, lotami załogowymi, fantastyką: **Marek Stachura** (15 l.), ul. Sportowa 5/1, 58-350 Mieroszów. Astronomią, możliwością istnienia życia w przestrzeni pozaziemskiej oraz UFO: **Józef Gawor,** 34-600 Stara Wieś 313. Astronomią i UFO: **Stanisław Zosik** (12 l.), ul. Armii Czerwonej 13/9, 59-920 Bogatynia; **Krzysztof Matyja** (14 l.), ul. Partyzantów 39a/18, 26-300 Opoczno; **Paweł Lepczyński,** ul. Kilińskiego 29/55, 98-220 Zduńska Wola. Astronomią i fantastyką naukową: **Jolanta Kwiatkowska** (15 l.), ul. Chrobrego 23/14, 87-100 Toruń; **Krzysztof Robak** (14 l.) ul. Okrzei 2a/2, Zabrze 3 – Biskupiec; **Ewa Pawełczuk** (15 l.), ul. Chrobrego 27/86, 87-100 Toruń.

Uwaga! Zgłaszając swoje nazwisko do kącika korespondentów nie zapomnij podać krótko sprecyzowanych zainteresowań, dokładnego adresu oraz koniecznie wieku, lub klasy, do której uczęszczasz.

Czy dyplomaci będą bez pracy?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 2

A jego sukces postawił służby dyplomatyczne obu mocarstw przed nowymi zadaniami; częściową kontrolą przestrzegania porozumień, wykorzystania postanowień jako gruntu, na którym budowane będą kolejne inicjatywy zmniejszające napięcie między USA i ZSRR, poszukiwania nowych możliwości współpracy itp.

Podobne obowiązki spadają na dyplomatów delegowanych na sesje organizacji międzynarodowych, na konferencje poświęcone ważnym problemom światowym. Ścieranie się często całkowicie odmiennych interesów dziesiątków państw czyni pracę dyplomaty trudniejszą, tym bardziej liczy się jego wiedza fachowa, znajomość stanowiska poszczególnych państw, umiejętność trafnej oceny sytuacji i poszukiwania kompromisu zadowalającego większość partnerów. Obserwuje się powstawanie specjalizacji pracowników służby dyplomatycznej. Nieco inne bowiem wymagania stawiane są ludziom wysyłanym na wielkie zgromadzenia międzynarodowe, niż dyplomatyczne zajmującym się kontaktami tylko z jednym państwem.

Zmiany w pracy służby dyplomatycznej przynosi postęp w łączności i komunikacji. Ułatwia bezpośredni kontakt z własnym rządem, wymianę instrukcji i informacji – tym samym szybsze reagowanie na propozycje i projekty partnerów, i przedstawienie oficjalnego, uzgodnionego z własnymi władzami stanowiska.

Rozporządzenie Rady Ministrów z 17.I.1975 r. określa, że pracownikiem polskiej służby dyplomatycznej może być osoba, która ukończyła 18 rok życia, wyróżniająca się aktywną postawą i zaangażowaniem w realizacji polityki PZPR i Rządu PRL, reprezentująca wysokie walory polityczne i moralne, gwarantująca właściwą postawę w pracy zawodowej i życiu prywatnym, odpowiednio przygotowana pod względem kwalifikacji zawodowych i znajomości języków obcych. Obok solidnego wyższego wykształcenia coraz potrzebniejsza staje się specjalistyczna wiedza fachowa. Dyplomata przestaje być omnibusem z powierzchowną znajomością różnych dziedzin i zagadnień. Do służby na placówkach dyplomatycznych powołuje się wybitnych naukowców, literatów, twórców filmowych i teatralnych, plastyków. Są oni kierowani do pracy w zależności od potrzeb wynikających z interesujących obie strony form współpracy.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Pochylił się nisko nad rannym.

– Georges, zbierz siły i powiedz, gdzie jesteśmy? Nie wiemy, jak stąd się wydostać. Razem z nami i ty będziesz ocalony. Rozumiesz mnie? Którędy trafić do jakiejkolwiek wsi, do ludzi?

– René – odezwała się prosząco Kasia. – Zaczekaj trochę, przecież on jest ledwo żywy!

– Nie ma na co czekać. On zna lepiej tę przeklętą dżunglę, niż my. I ostatecznie przez niego tu jesteśmy, bo kto inny nas tu wpakował, jak nie on?! Niech teraz ruszy rozumem. I nam pomoże, i sam siebie uratuje!

Trudno jednak było czegokolwiek się dowiedzieć. Owszem, Georges chciał mówić. Ale co chwila tracił przytomność i majaczył. Wreszcie zdołali zrozumieć, że o pół dnia pieszego marszu w kierunku na południowy wschód jest małe osiedle jednego z miejscowych plemion, którego nazwa dla Renégo była całkiem niezrozumiała. Mogą oni, zwłaszcza w zamian za sól, zaprowadzić do którejś drogi, a na drodze łatwiej spotkać kogokolwiek, kto wskaże kierunek na Vientiane, lub sprowadzić pomoc.

W zamian za sól. Skąd ją wziąć? Georges wskazał wzrokiem lekki plecak, leżący w kącie jamy. Okazało się, że w plecaku oprócz zapalniczki, leków przeciwmalarycznych, latarki i paru innych pożytecznych drobiazgów, znajduje się kilka nylonowych opakowań zawierających szarawą sól.

Odeszli na chwilę, pozostawiając Kasię przy rannym, aby się naradzić.

– Bez antybiotyków i innych lekarstw facet nie pociągnie długo – mruknął René. – Cholera, zachciało mu się wielkich afer i mnóstwa pieniędzy. I ot, co. Sam lada chwila się wykończy i nas wpakował w nielichą kabałę!

– Chyba nie wszyscy jego ludzie wyginęli?

– Być może, ale co z tego? Jak stąd się wydostać? – zastanawiał się na głos René stukając palcami o pień drzewa. Z głębi lasu odezwał się ptak identycznym niemal głosem jak nasz dzięcioł – pomyślał Włodek.

– Co zrobimy?

– Trzeba będzie ruszyć w tym kierunku.

– Myślisz, że teraz, od razu?

– Chyba jednak nie – pokręcił głową René. – Jest już południe i to raczej późne. Lepiej, żeby nas nie zaskoczyła nagła ciemność w tym buszu. Musimy jakoś przenocować w tej dziurze, a rano, skoro świt, ruszymy dalej.

– Zostawimy go tak samego? – spytał Włodek, wskazując ruchem głowy miejsce, w którym leżał Georges.

– A jak inaczej zrobić? – wzruszył ramionami René. – Nie możemy go przecież dźwigać. Musimy jakoś oznakować trasę, którą będziemy stąd szli i potem postaramy się przysłać mu pomoc. Choć naprawdę ten łajdak na to nie zasłużył! – dodał z nutą zaciętości w głosie.

– Zawsze to człowiek – odparł Włodek.

– Nie przeczę, że człowiek. Ale to on nas wpakował w taką kabałę, że z niej teraz trudno wyleźć!

– Są zapałki – zmienił temat Włodek. – Jak myślisz, gdybyśmy rozniecili ognisko, to może by zobaczyli nas z jakiegoś samolotu albo z helikoptera?

– Tak, i poślą wtedy parę bomb, bo będą przekonani, że to Pathet Lao. Lepiej tego nie robić, przynajmniej na razie.

– I tak musimy przecież ugotować wodę.

– Owszem, ale do tego nie będziemy rozpalać zbyt wielkiego ognia. Lepiej to zrobić pod osłoną wilgotnych liści, wprawdzie wtedy więcej jest śmierdzącego dymu, ale z góry mniej widać.

Porcja wrzątku, ugotowanego w puszce po konserwach, przezornie zabranej z podziemi, po dwa suchary – to musiało im starczyć za napój i pożywienie aż do końca dnia. Georges czuł się nieco lepiej i dłużej zachował przytomność. Raz jeszcze słabym, przerywanym głosem powtórzył objaśnienia dotyczące drogi przez dżunglę. Ale równocześnie postawił pytanie, w którym brzmiał lęk:

– Pójdziecie, zostawcie mnie tutaj?

– A jak mamy zrobić inaczej? – burknął szorstko René: – Przez ciebie tu tkwimy w tej przeklętej dżungli i jeszcze chcesz, żebyśmy się nad tobą rozczulali?!

Ranny dźwignął się gwałtownie na obu łokciach i opadł powtórnie na posłanie, zmożony bólem. W jego czarnych, skośnych oczach widać było przerażenie.

– Ale przecież my tu wrócimy! – odezwała się łagodnie Kasia. – Dojdziemy tam, gdzie są ludzie i sprowadzimy pomoc.

– Nie zapamiętacie drogi. Nie znajdziecie mnie! – wybełkotał głucho Georges.

– Zapamiętamy. Będziemy robić znaki, żeby łatwiej odnaleźć potem to miejsce. Niech pan się nie boi.

Cdn.

A'TOMEK

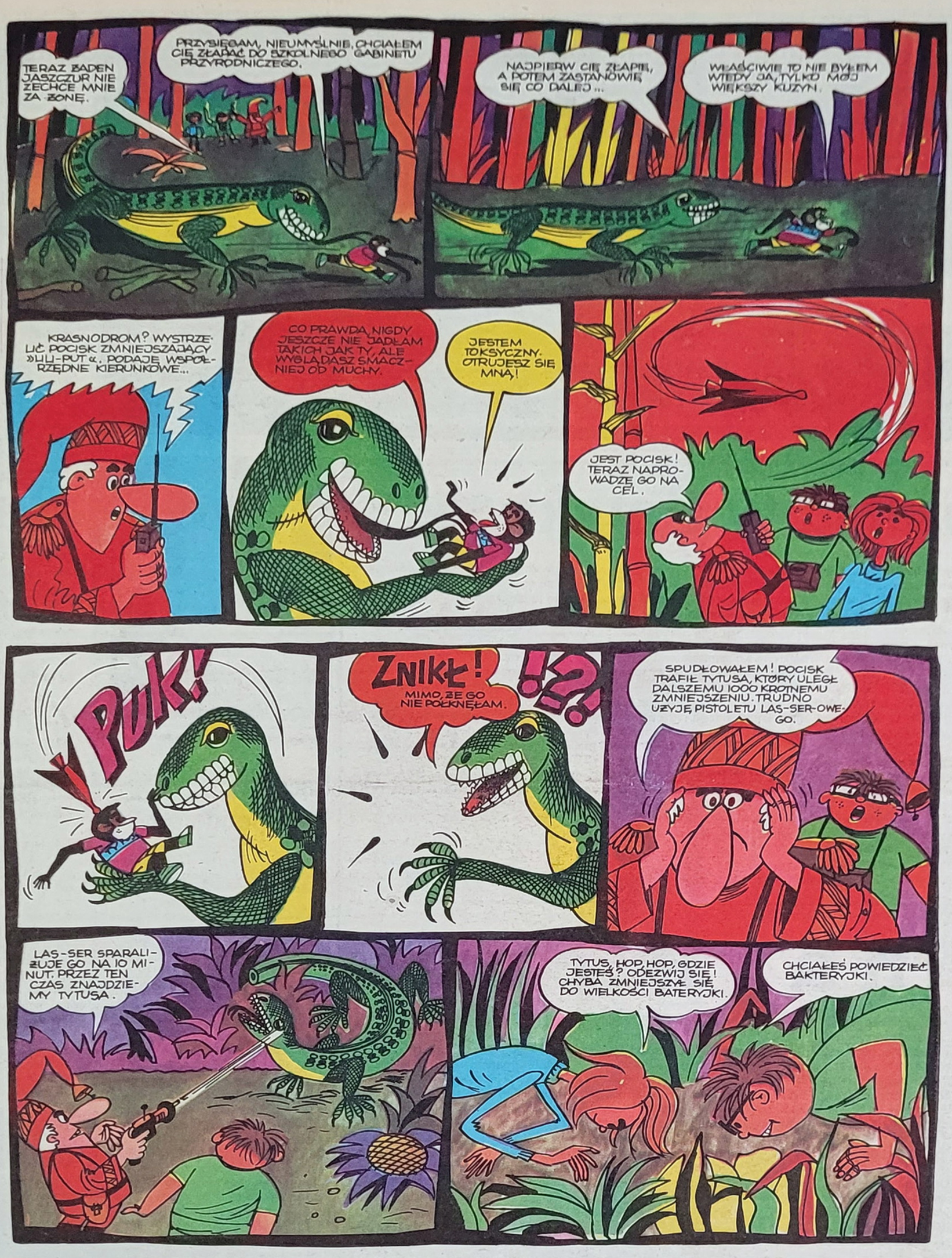

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

TYTUS, Romek

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

[illegible] Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"

Nr zam. 6739/G C-121

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- O zwyczajach morskich rozbójników czyli piratach.
- Druga część opowieści o Laponii i poszukiwaczach złota.
- Porcja informacji dla Ptakolubów.

Monika Warneńska

WĄŻ MA GROŹNE OCZY

Zbliżyli się ostrożnie do gąszcza zieleni. Spomiędzy zarośli wyzierały szare kamienie i resztki zbutwiałych desek.

– Hallo! – półgłosem zawołał René. – Kto tam?

Znów jęk, ale tym razem rzężący, jak gdyby człowiek usiłował wydobyć z gardła jakiś dźwięk, bardziej podobny do słowa. Ostrożnie jęli rozgarniać gąszcze. Zobaczyli otwór, wyżłobiony w ziemi, tak osłonięty kamieniami i drewnem przerosłym pędami zieleni, że trudno byłoby go wykryć. Wewnątrz na gołej ziemi leżał człowiek, którego wilcze, trwożne spojrzenie błysnęło ku wchodzącym. Chociaż zmienił się do niepoznania, omyłka była wykluczona – Georges! – wyszeptał Włodek. – To on!

Tak, to był sprawca ich porwania, przeobrażony do niepoznania: obrzękła twarz, siny zarost, zmierzwione włosy, na wpół błędne spojrzenie... Nie mógł się dźwignąć. Patrzył na przybyszów wzrokiem przytomnym i zdawał się ich poznawać. Po chwili widać jednak było, że traci świadomość. Wyszeptał kilka niezrozumiałych słów i zapadł w omdlenie.

Kasia podeszła w ślad za chłopcami, przeskakując wyboje i kłody. Patrzyła na Georges'a w milczeniu, przerażona i wstrząśnięta. To był sprawca ich uprowadzenia. Ale to był zarazem człowiek ranny i chory, któremu należało pomóc.

Niewiele mogli mu pomóc. Z cieknącego przez wilgotny grunt strumienia zaczerpnęli wody. Obmyli twarz rannego, zwilżyli jego usta. Spróbowali, gdy nieco oprzytomniał, nakłonić go do przełknięcia proszku przeciwbólowego. Obecność ludzi zdawała się przywracać rannemu nieco sił.

– Żyjecie – wymówił słabym, ledwie dosłyszalnym szeptem. Żyjemy... to dobrze...

René pochylił się nad nim.

– Georges, co się stało?

– Napadli... Szept rannego stał się chrapliwy. – Meo.

– Ci od Vang Peo?

– Nie wiem... Jakieś plemię... nie chcieli, żeby zabrać bogów...

– René, nie męcz go, przecież on ledwie żyje! – wstawiła się za rannym Kasia.

– Trudno, póki może, niech mówi – odparł chłodno Francuz. On zna te bezdroża, więc mamy jedyną szansę, żeby się dowiedzieć, jak się stąd wydostać. Dla niego to też przecież ratunek – dodał nieco łagodniej, widząc pobladłą twarz Kasi.

Pochylił się niżej nad rannym, zwilżył jego czoło dużym liściem umaczanym w wodzie.

– Słuchaj, Georges, to ja, René! Poznajesz mnie?

Ranny wyrazem oczu potwierdził. A potem urywanymi słowy wyjaśnił po trosze co zaszło, choć najwidoczniej nie o wszystkim chciał mówić. Napaść na podziemia była sprawą grupy Meosów. Podczas krótkiej, gwałtownej walki wybito pomocników Georges'a, wszystkich, co do nogi. On ocalał nieomal cudem, ranny w ramię i w udo. Zdołał oddalić się jak najbardziej od niebezpiecznego miejsca – i dopóki mu starczyło sił, wlókł się aż tutaj. Ma broń, więc postanowił, że go żywcem nie wezmą. W zamieszaniu, jakie rozpętało się podczas napaści, zdołał zabrać torbę z jedzeniem i lekarstwami, którą miał zawsze pod ręką. Wszystko inne stracił – chyba bezpowrotnie.

– Paskudnie to wygląda – skrzywił się Francuz na widok ran Georgesa, który zaogniły się i mocno ropiały.

Dokończenie na str. 7